

piekunem młodych, początkujących adeptów dziennikarskiego zawodu, a między obywatelstwem Warszawy pamięć człowieka o wielkich zaletach serca i umysłu.

Cześć jego pamięci!



Powróciwszy po letnich wywczasach do Krakowa, przekonałem się, że gród nasz stoi na swoim dawnym miejscu i nic się nie zmienił. Wprawdzie tu i ówdzie stał się czystszy (teatr, nowa siedziba Banku hipotecznego, Bank galicyjski itd.), ale za to gdzieśindziej srodze pobrudniał — jednym słowem pod względem zewnętrznym nastąpiło wyrównanie.

Mało zmieniła się i fizyognomia duchowa miasta. Handelki, jak dawniej, wrą życiem; w teatrze, jak zawsze na początku każdego sezonu, dają same „nowości“, jako to „Rewizora z Petersburga“, „Urzędową żonę“, dzienniki, jak dawniej, przynoszą niesłychanie interesujące telegramy, jak np. że „Lueger udał się samochodem do Neubruck koło Scheibbs“. Co do stosunków ekonomicznych, te z każdym dniem się polepszają... dla właścicieli kamienic, piekarzy, rzeźników i składników węgla. Pierwsi podnoszą czynsze z tej przyczyny, że niema już przepełnienia, niema już braku mieszkań, spowodowanego napływem „królewaków“, piekarze każą sobie więcej płacić za pieczywo, ponieważ mąka staniała; rzeźnicy biorą więcej za mięso, ponieważ cena „żywego towaru“ stoi w mierze; wreszcie składnicy węgla podnieśli jego cenę z tej racji, że w miesiącach letnich węgiel ich mniej kosztuje. A ponieważ ze wzrostem dobrobytu jednostek, powiększa się dobrobyt ogólny, przeto „ogół“ powinien szczerze się cieszyć z tego napęcznienia kieszeni kamieniczników, „chleborobów“, wieprzobijów i dostawców opału.

Wzmianka o teatrze przypomina mi sprawę budowy teatru ludowego w Krakowie. Ma ona (budowa, nie sprawa) z dziedziny projektów przejść w dziedzinę rzeczywistości. Architekt Zawiejski z polecenia prezydenta pracuje nad wykonaniem planu na ten przybytek sztuki. Bardzo to pięknie, ale mniej pięknie, że utworzyło się konsorcjum anonimowe, które pragnie podstawić stołka myśli p. prezydenta i projektowi p. Zawiejskiego. Konsorcjum to stara się o pozwolenie wybudowania własnym kosztem teatru... drewnianego. Przeciw takiemu rozwiązaniu sprawy stanowczo zastrzedz się należy.

Przedewszystkiem budynek drewniany dla teatru, to już na dzisiejsze czasy anomalia. Nie uchodzi on nawet w miastach prowincjonalnych, a cóż dopiero w Krakowie. Zwolennicy tej „idei“ powołują się na to, że istnieje w Warszawie drewniany teatr letni w Ogrodzie Saskim. Prawda — ale już sama nazwa: „teatr letni“ objaśnia rzecz całą. Ponieważ w teatrze Wielkim podczas letnich miesięcy panowało nieznośne gorąco, więc wybudowano w ogrodzie teatr drewniany, przewiewny, do którego na lato przenosiły się i przenoszą muzy teatru Wielkiego. Na taki teatr, na taką filię teatru miejskiego, zupełna zgoda. Kraków powinien do tego dążyć, aby i przez lato nie był pozbawiony dramatu i komedii. Był nawet czas za Koźmiana, że robiono w tym względzie próby i na zaimprovizowanej scenie „pod gołym niebem“ w ogrodzie strzeleckim, a potem w budzie drewnianej „pod Wilkiem“ mieślny teatr na lato. A Kraków wówczas (było to około r. 1875) liczył 60.000 mieszkańców, a z przedmieściami około 80.000 — dziś ich zaś liczy dwa razy tyle. Jeżeli więc wówczas można sobie było pozwolić na teatr letni i jeżeli wówczas nie narażał on na straty, to dziś prawdopodobnie byłby wcale dobrym interesem. I tylko brakowi odwagi, brakowi przedsiębiorczości przypisać należy, że następcy Koźmiana zamykali i zamykają „budę“ na lato.

Ale co innego teatr drewniany na zime, teatr stały, teatr opalany. Samo niebezpieczeństwo pożaru jest dostateczne, aby podobny projekt uznać

za niefortunny i wogóle niepodlegający dyskusji.

To rzecz jedna. Ale idzie tu jeszcze o co innego. Przewodnicy budowy przez gminę teatru ludowego murowanego, obawiają się konkurencji, jaką by ten teatr wytworzył teatrowi miejskiemu. Naprzód, jeżeli idzie o konkurencję, to i teatr drewniany wytworzyłby ją również. Ale obawa ta byłaby płonna, jeżeli teatr ludowy wypełniałby ściśle swoje przeznaczenie, jeżeliby trzymał się właściwego repertuaru, jeżeliby w murach swych gromadził te szerokie warstwy, dla których scena miejska jest nieprzystępna, zarówno swemi cenami, jak repertuarem. A choćby była nawet pewna konkurencja, boć znalazłoby się sztuki, że tak powiemy „wspólne“, odpowiednie do grania zarówno na obu scenach, to taka konkurencja wyszłaby tylko na dobre miejskiemu teatrowi. Dzierżawca jego więcej musiałby dbać o dobór personalu — a wówczas nie obawiałby się... konkurencji. Jeżeli co, to właśnie zupełny brak konkurencji odbijał się smutno na poziomie sceny krakowskiej w ostatnim lat dzieśiątku.

Ale idzie tu wreszcie o zasadę. Teatr ludowy, jeżeli ma odpowiedzieć swemu zadaniu, nie powinien być przedsiębiorstwem prywatnem, ale instytucją publiczną. Wybudowany i kontrolowany przez gminę, przynosiłby dzierżawcy tylko pewne *quantum* za jego pracę — wybudowany i prowadzony przez jakieś konsorcjum finansowe, stałby się przedsiębiorstwem, któreby nie przebiegało w środkach dla powiększenia zysków i albo sprowadziłoby teatr ludowy na manowce, albo wytworzyłoby właśnie tę konkurencję, o którą jest obawa. Byłby to albo drugi taki sam teatr, jak miejski, albo tingel-tangel na większą skalę. Tak czy owak, dość, że nie byłoby teatru... ludowego.

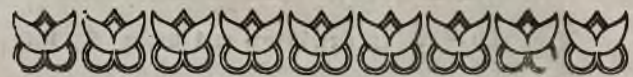
Może w tym nowym ludowym teatrze popisyaliby się i ci panowie atleci, co teraz walczą o „mistrzostwo Enropy (!!!)“ w ogrodzie krakowskim. Pożytek z takich „popisów europejskich“ jest zaiste wielki, byłby zaś jeszcze większy, gdyby niemi lud zainteresować. O estetycznym i etycznym znaczeniu tych walk, dość w ostatnich czasach pisano. Kto posiada klepki w porządku, ten rozumie, że tego rodzaju zapasy obudzają tylko niskie instynkty, rodzą uwielbienie dla siły pięści, z cyrkowych siłaczy robią bohaterów; kto zaś posiada odrobinę smaku, poczucia piękna, dla tego panowie atleci są okazami zwyrodniałego ciała ludzkiego, to nie starożytni atleci, młodzieńcy o klasycznych formach ciała, ale karykatury, karmne wieprze. Ciekawa rzecz, czy Kraków na tę zabawę „poleci“. Lecił dawniej, to prawda, ale ogół czasami mądrzeje, zwłaszcza gdy się przekona, że go biorą na „kawał“. Boć obecnie jestto powszechnie wiadomem, że panowie atleci grają komedye, że wszelkie ich zakłady to farsa, że dziewięć dziesiątych pomiędzy nimi to najeci przez „mistrzów“ komparsi, mający obowiązek dać się położyć na łopatki. „Mistrze“ zaś dzieląc się dochodami z głupoty ludzkiej, umawiają się z góry, gdzie który ma być zwycięcą. Głównie o to chodzi, aby utrzymać zaciekanie tłumów przez wprowadzanie „nowych sił“, przez „nierozstrzygnięcie walki“ itd. Upatrzony zwycięzca występuje dopiero przy końcu turnieju. Otóż te „machinacje“ dostatecznie już wykryto i objaśniono, nie wiedzą o nich chyba tylko analfabeci.

Innego rodzaju odkrycie zrobiono co do jednego z bohaterów pekińsko-paryskiego wyścigu samochodów. Idzie tu o p. Godarda, jadącego na holenderskim samochodzie „Spyker“. Przybył on do Warszawy równocześnie z dwoma samochodami firmy Dion-Bouton. Bohaterom głupsza część Warszawy urządziła wspaniałe przyjęcie. Wyległo dużo gapiów na ich powitanie, cała rzesza sportowców wyruszyła na ich spotkanie przed „bramy miasta“, podobizny ich wystawiono na widok publiczny, *Kuryer Warszawski* wydał na ich cześć bankiet w Bristolu. Na tym bankiecie pito i zdrowie Godarda; jeden z dziennikarzy kuryerkowych nazwał go „niezmordowanym, nieustraszoną i bohatersko walczącym sam na sam z niesłychanymi wprost przeszkodami drogi i podróży“, drugi widział w nim „bohatera dnia grodn naszego“. Dowiedzieliśmy się też z *Kuryera*, iż „prawdziwą niespodzianką dla Godarda było, gdy ujrzał swój samochód prześlicznie udekorowany żywym kwieciami przez współpracowniczkę hotelu Bristol“. Tymczasem pisma zagraniczne obwieściły światu, iż ów p. Godard zajmował się przez cały czas podróży tylko „naciąganiem“ kogo się dało, że zabrane zapasowe koła gumowe sprzedał jeszcze przed wyjazdem z Paryża, że „urządził“ między innymi i konsula holenderskiego w Pekinie itd. — że wreszcie pan ten

prawdopodobnie nie ukaże się w Paryżu, bo został tam skazany na 18 miesięcy więzienia... za oszustwo. A co — ładny „bohater“ *Kuryera Warszawskiego*?

Ale ów bankiet, wydany przez redakcję *Kuryera* w Bristolu (najdroższej restauracji w Warszawie) musi być chyba bajką wobec tego, co o stosunkach warszawskich pisze korespondent *Kuryera Poznańskiego*. Widzi on przerażające pustki w droższych restauracjach. Warszawiacy nie bawą jak dawniej „u Stępka“, nie jeżdżą do Marcelina, bo ich nie stać nawet na kawał zwykłego mięsiwa i trunki kosztowniejsze. „Warszawiak dziś ma zaledwie na szklankę herbaty i talerz mleka“. Tylko mleczarnie pełne, a „te mleczarnie, których jest coraz więcej, to *signum temporis*“. Więc kiedyś to czytał, tom uronił łzę jedną, drugą, trzecią i czwartą nad dolą Warszawiaków. Ale kiedy piąta już, już miała spłynąć na moje oblicze, przypomniałem sobie, że i przed trzema i czterema i pięciu laty pełno było mleczarni w Warszawie, a wszystkie były w lecie „jak nabite“. Więc twierdzą, że to *signum temporis* nie udało się korespondentowi *Kuryera Poznańskiego*. Co więcej dodam, że ludzie zamożniejsi zawsze na lato opuszczali Warszawę, a stąd i droższe restauracje były pustawę w czasie „kanikuły“. Więc za czarno patrzy się pan korespondent na warszawskie stosunki, choć nie ulega wątpliwości, że się one grubo pogorszyły. Ale nie tak znowu, aby warszawiak herbatką zastępował mięso, a „trunki“ mlekiem zsiadłem. Tak źle jeszcze nie jest — a dowodem choćby to, że nawet dla obcych awanturników i oszustów takich, jak Godard, ma Warszawa na bankiety ze szampanem...

Ponieważ wypadło mi dziś pisać o samych zabawach i „komedjach“, więc nie mogę pominąć wielkiej zabawy zapowiedzianej na 14 września pod Poznaniem. W dniu tym cesarz Wilhelm na czele swej niezwyciężonej (dopóki jej nie pobiją) armii, będzie zdobywał Poznań. Co prawda raz to już uczynić należało, boć Poznań nie był dotychczas przez Prusaków zdobyty, lecz po prostu (mówiąc właściwą gwara) buchnięty. A chociaż zdobyć wojenna ma często wiele wspólnego z kradzieżą, to jednak jest jej, według utartego przekonania, szlachetniejszą odmianą. Dodajmy nawiasem, że owo zdobycie Poznania nie obejdzie się bez ciężkich ofiar. Zabawka ta ma kosztować 9 milionów marek — dawniej prawdziwe zdobycie miasta mniej kosztowało. I jeszcze pytanie, czy będzie Poznań zdobyty, bo niewiadomo (mnie przynajmniej) jak tam z góry postanowiono: czy Poznań ma być tak silny, że go nawet sami Prusacy, udający w tym wypadku Rosyan, zdobycy by nie mogli, czy też cesarz Wilhelm ma posiadać takie talenta zdobywcze, że nawet pruskie twierdze nie są zdolne oprzeć się potędze jego oręża. Bo trzeba wiedzieć, że tego rodzaju manewry mają podobieństwo do walki atletów: zwycięzca jest naprzód oznaczony. Wspólność tych komedii leży i w tem, że tak za tą, jak za tamtą zabawkę — plebs płaci.



## Kącik humorystyczny.

### Odgadywacz myśli.

W wagonie kolejowym siedzi Dawid Reiser i przedstawia mu się jakiś jegomość.

— Czem pan jesteś? — pyta Dawid.

— Ja jestem odgadywaczem myśli.

— Nu, co to znaczy?

— To znaczy, że ja panu mogę powiedzieć, o czem pan w tej chwili myśli.

— A co to kosztuje?

— Dziesięć reńskich.

— Nu, no to już jestem ciekaw, niech mi pan powie, co ja teraz myślę, a ja panu potem dam 10 reńskich.

— Pan jesteś kupcem i myślisz teraz nad tem, aby zbankrutować i swoim wierzycielom nie zapłacić.

— Ma pan 10 reńskich — mówi Dawid.

— Prawda, że odgadłem?

— To nie — mówi Dawid — ale mnie pan poddał doskonały pomysł.

